BOHDAN BOROWIK

# DOTYK SYBERYJSKIEJ ŚMIERCI

WSPOMNIENIA Z GŁĘBI TAJGI

*Copyright © 2015, Bohdan Borowik.*
*All rights reserved*

No parts of this book may be reproduced in any material form, including photocopying or storing in any medium by electronic means and whether or not transiently or incidentally to some other use of this publication, without the written permission of the copyright holder.

Permission may by sought directly from Borowik-Lab Fund. www.bel-borowik.com
phone: +48 604875247

ISBN 978-83-62674-06-0

For information on all Bel publications visit our website at *www.bel.lt*

## NIEDZIELNA WIZYTA MO

Dnia 29 listopada 1948 roku była niedziela, siedziałem w pokoju z córką. Miałem iść na mszę do kościoła, ale jakoś się guzdrałem i nie poszedłem. By zająć myśli, które stale krążyły wokół mojej wcześniejszej „wizyty" na UB, grałem z córeczką w bierki.
Nagle ktoś energicznie zapukał do drzwi. Ziuta, moja żona, poszła otworzyć.
Jakiś siódmy zmysł, nabyty jeszcze na polowaniach, kazał mi zbliżyć się do okna, aby wyskoczyć i uciec. W matowej szybie zobaczyłem szarmanckie całowanie w rękę i uprzejme słowa. To mnie zatrzymało, zawahałem się na ułamek sekundy jak na klatkach spowolnionego filmu...
potem wiele razy przypominałem sobie ten moment.

Dałem się podejść.
Myślałem, że jak raz się udało, to... Nie zawsze jest jednak świętego Jana.
W korytarzu szybko skończyły się kurtuazje. Szybkie wejście i już stało przede mną dwóch oficerów MO w randze kapitana, jeden z nich celował we mnie pistoletem. Rutynowo zapytali o personalia.

-Pokazać dowód osobisty!

Milicjant, trzymając w ręku dowód, kazał podawać sobie wszystkie zapisane w nim szczegóły. Następnie sprawdzał tłustym palcem, czy da się oderwać zdjęcie, czy przypadkiem – jak się wyraził – nie jest dowalone. Nie miałem z ich strony żadnej odpowiedzi lub wyjaśnienia, o co chodzi. Miałem robić, co każą i basta. Gburowato ucięli trwożliwe pytania żony. Wszystko to stało w ostrym kontraście z początkową kurtuazją. Zostałem poddany skrupulatnej rewizji osobistej, a następnie dokładnie przetrząśnięto całe mieszkanie, zostawiając je w kompletnym bałaganie i przy płaczu córki, i żony musiałem opuścić dom, jak się później okazało, na zawsze.
Pod eskortą doprowadzono mnie na MO (Milicję Obywatelską) w Częstochowie. Zostałem zamknięty w celi po pijakach, o czym świadczył ostry zapach moczu, który zlewał się z rozkładającymi się pozostałościami łazanek na podłodze. Już po kilku godzinach spędzonych na MO rozbolała mnie głowa i jak zbawienie, spadł na mnie rozkaz opuszczenia celi.
Była już godzina dwudziesta druga, obaj oficerowie chwiali się na nogach, przy nodze stołu stała butelka po czystej zwykłej.

* * *

Dnia 11 maja 1949 roku zostałem wezwany na rozprawę sądową. W pokoju siedział sędzia, protokolant i tłumacz, ten sam od przesłuchań w NKWD. Nie było prokuratora, wyglądało na to, że wyroki są ustalone z góry, bez trybu odwołań i składania zażaleń. Sędzia przeczytał mi zarzuty: szerzenie wrogiej propagandy, przyłączenie zachodniej Białorusi do Polski i w punkcie drugim, uprawianie kłamliwej goebbelsowskiej propagandy przez mówienie, że oficerów polskich w Katyniu zabili Rosjanie. Wyrok na rozprawie nie został ogłoszony, po czym mnie wyprowadzono.
Strażnik wyprowadził mnie do innej celi, mieszczącej się na górnym piętrze, gdzie byli zgromadzeni współtowarzysze niedoli, którzy z drżeniem serca oczekiwali na wyroki. Tłok w sali panował tak duży, że nie było mowy o położeniu się na posadzce, a poza tym atmosfera dookoła nie skłaniała do spoczynku. Jedni na klęczkach głośno się modlili, odmawiali różaniec. Inni bliscy obłędu wspominali swych bliskich, przeklinali cicho, tak by strażnik nie słyszał. Wielu płakało. Wyroki wykonywano od razu w podziemiach. W piwnicach i na korytarzach zabijano od razu strzałem w tył głowy. Wiedziałem, że jeżeli nie wywołają mnie w przeciągu siedmiu dni, oznacza to taki właśnie koniec.
Po kilku dniach dowiedziałem się od współwięźniów, za co siedzą. Jeden ze współwięźniów, Białorusin,

który wojnę przeżył szczęśliwie jako frontowy kierowca, trafił po wojnie za kratki za sprawą swego sąsiada Buchbauma, który awansował na wysokiego oficera NKWD. Teraz czekał na smutny koniec w kazamatach NKWD. Innego ze współwięźniów podejrzewano o wypisywanie wierszyków na Stalina w toalecie.

Siedziałem w tej celi już pięć dni i zdążyłem się pogodzić ze swym losem. Pomimo osłabienia wyobraźnia pracowała mi niezwykle trzeźwo, w nieprzerwanym ciągu przywodząc przed oczy nawet najbardziej błahe zdarzenia z mego życia. Snuła się nade mną nić optymizmu, dziwnie wierzyłem, że uniknę kuli w ciemnych lochach i późniejszego dołu z wapnem. Niestety, nie dane mi było wtedy widzieć mrocznej przyszłości, a najbardziej bólu od polskojęzycznego UB po powrocie z tułaczki do kraju.

Uchodziłem wśród kolegów za twardziela i przecież nieraz w czasie okupacji ocierałem się o damę z kosą, ale może na skutek atmosfery panującej w tej celi, byłem tak bardzo przejęty.

Każdego dnia kogoś wywoływano i w sumie, wyroki oscylowały od spontanicznego pożegnania się z życiem po strzale gdzieś w piwnicy, do dwudziestu pięciu lat wyjazdu na białe niedźwiedzie. Zostali także wywołani więźniowie, którzy przebywali tu dwa tygodnie, oczekując na wyrok. Nigdy już nie wrócili. Znaleźli się więźniowie, którzy odmówili za nich wieczny odpoczynek.

Z niecierpliwością oczekiwałem kiedy mnie wywołają. Po południu piątego dnia pobytu wywołano moje nazwisko. Wiedziałem, że wcale na egzekucję nie muszę czekać tygodnia, ot załatwiają po kolei. Strażnik kazał mi wyjść.

Z trzeciego piętra prowadzono mnie do piwnicy z rękami założonymi na plecach. Nie oglądając się za siebie szedłem korytarzem. Słońce świeciło z ostrego kąta. W szybie rozpoznałem strażnika i jakąś marę o iskrzących, błędnych oczach. Całą siwą i pokiereszowaną. Zdziwiłem się, że tak bardzo i tak szybko można się zmienić. Przygotowany byłem na nagły strzał w tył głowy i nasłuchiwałem pośród kroków odgłosu wydawanego przez broń przed oddaniem strzału. Już wielokrotnie rozmyślałem o swym życiu, ale teraz schodząc ze strażnikiem, poczułem się nagle lepiej. Wprawdzie skończę nie najlepiej, ale znajdę oparcie u Ostrobramskiej Matki. Tu i teraz przydało się przypomnienie spotkania mającego miejsce podczas gimnazjalnej pielgrzymki z Brześcia do Ostrej Bramy. Nie było i dalej nie będzie łatwo, ale wytrzymam.

Nagle padła ostra komenda strażnika:

-Na prawo dwierji. Wchodit'!

Gdy wszedłem do pokoju z zawieszonymi portretami Stalina i Berii, zastałem cywila za biurkiem zarzuconym papierami. Najprawdopodobniej wyrokami na dzień dzisiejszy.

-To wy jesteście Wolański? – spytał.

Nie czekając na odpowiedź rzucił wyrok:

– Jesteście skazani na 25 lat specjalnych zakładów karnych.

Nastąpiła cisza. Wiedziałem, że ma jeszcze coś do powiedzenia i dziwiło mnie cały czas, że nie odczytuje wyroku, jak to się zwykle w sądach praktykuje. Patrząc na mnie jak na przedmiot, a właściwie jak na lesoruba, rzucił jeszcze formułę do znudzenia powtarzaną przez politruków w powojennej Polsce. Stalin jest dobrym człowiekiem, nie jest on żądny krwi i dlatego nie skazał was na śmierć. Byłem oszołomiony tym wyrokiem, ale z drugiej strony odetchnąłem, że będę jednak żyć. Jak się tu jednak pogodzić z niemiłą perspektywą dwudziestu pięciu lat łagru?

W celi, do której teraz trafiłem, wszyscy współwięźniowie mieli wyroki równo po 25 lat. Nastroje w tej celi nie były już takie grobowe. Pocieszaliśmy się jak tylko można nawzajem, na różne sposoby. A to, że żyjemy, co jest najważniejsze. A to, że amerykański prezydent Eisenhower szykuje bombę atomową,

która rozwiąże, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, nasze problemy. To wszystko kiedyś się musi skończyć i wrócimy do domu, do Polski. Nikt nie sądził, że to, co się działo na Rakowieckiej przy udziale Luny Brystygierowej i Bermana tworzyło bardziej logiczne przesłanki do pozostania w łagrach.

## WYPRAWA W NIEZNANE

Za murami roztaczała się wiosna, czasem niosły się wołania cyranek, lecących do gniazd nad Muchawcem. Jakże piękne były czasy, gdy polowałem na Polesiu.
Czy jeszcze kiedyś zobaczę Bug. Co będzie. Co mnie czeka? Nieraz z tych marzeń wyrywały mnie krzyki bitych. Wtedy mrowie przechodziło mi po plecach.
Major Jewriej miał cały arsenał środków do zmiękczania krnąbrnych Polaczków. W jego pokoju przesłuchań stała specjalna klatka umocowana w rogu pomiędzy ścianą, a kratą okna. Znajdowała się ona na wysokości ramion. Skazaniec musiał przykucnąć i wsadzić do niej głowę. Przed oczyma miał dwa pręty wbite w ścianę na wysokości oczu. Za sobą koło szyi miał również pręty. Z tak unieruchomioną głową był bity przez majora. Naczalstwo NKWD chwaliło majora za dobrą i sprawną robotę przy wymuszaniu zeznań.

Tak upłynął jeszcze miesiąc, gdy w czerwcu 1949 roku cała grupa została rano wyprowadzona na dziedziniec więzienia. Najpierw kazali się wszystkim rozebrać do naga. Oficer NKWD, określany jako Jewriej, kazał każdemu z nas kucać i sprawdzał przy pomocy lusterka, czy nie mamy noża składanego lub innych narzędzi schowanych w odbycie. Następnie nasze ubrania wywracano na drugą stronę i przetrząsano. Wszyscy mieli na sobie pieczątki po kichach (pasach gumowych od betoniarek) lub łańcuchach, natomiast ubrania były poplamione krwią. Po tych zabiegach jasne stało się, że opuszczamy miejsce naszego poniżenia i jesteśmy wysyłani na spotkanie białego niedźwiedzia. Zaiste. Wkrótce pancerne wrota więzienia pootwierali strażnicy i załadowali nas na samochody. Przed bramą stały kobiety, często żony i siostry skazańców, które jakoś zwiedziały się o transporcie i próbowały wrzucić pod plandeki zawiniątka z chlebem i machorką. Strażnicy tłukli kogo popadnie kolbami, także kobiety uciekały z drogi. Gdy droga zrobiła się pusta, strażnicy na odchodnym pogrozili pięściami zbiegowisku i wrzasnęli wskazując na nas karabinami, że jesteśmy bandytami - faszystami! Kolumna samochodów skierowała się na bocznicę kolejową. Stali na niej żołnierze radzieccy z pepeszami gotowymi do strzału. Samochody z więźniami podjechały do składu bydlęcych wagonów, które teraz na długie tygodnie stały się naszym podwodem, wiozącym nas na wschód ku białemu niedźwiedziowi. Jeszcze nigdy dotąd nie jechałem sowiecką salonką, jak nazwaliśmy nasz dom na kołach. Od razu było wiadomo, że służyła raczej niedawno do przewozu rogacizny, gdyż na podłodze i ścianach znajdowały się jeszcze resztki sierści i ekskrementów, które zgarnęliśmy w kąt wagonu, tak by można się było rozłożyć na podłodze.
Wagon miał nadbudówkę dla oddziału eskortujących strażników oraz zakratowane okienko z powiększoną dziurą, by można było w nią w każdej chwili włożyć lufę od pepeszy. Na środku wagonu stała barasza. Barasza to według słownika łagrów beczka dla załatwiania potrzeb fizjologicznych. Po kilku dniach podróży z reguły była pełna i siadanie na niej kończyło się z reguły dla niewprawnych opryskaniem ud, pleców i innych części ciała oraz łachów, które były równocześnie i bielizną, i szynelem.Podczas podróży Jankowi z Sambora pod Lwowem wywiązała się gangrena nogi. Stare rany po razach od majora Jewrieja w kontakcie z podłogą bydlęcego wagonu spowodowały infekcję. Nie

było wody. Nie było środków antyseptycznych. Polewanie rany moczem powodowało dalsze zaognienie. Jeden z więźniów, będący kapitanem piechoty, powiedział, że ma sposób i regularnie przez trwającą trzy dni drogę do Mińska wylizywał i wysysał własnymi wargami ropę z rany. W Mińsku do wagonu dokwaterowano nowych więźniów. Janka zabrano i przekwaterowano do grupy bolnych. Ci bolnyje z Polszy niezadługo dostali od wracza receptę, którą był wyrok i egzekucja w mińskich lasach.
Posiłek na postoju w Mińsku wydawał się dla wygłodzonych więźniów ucztą rzymską. Każdy dostał po jednej rybie osolonej, w środku nadgniłej, oraz pół kilo czarnego chleba. Do tego posiłku jako popitok przysługiwały dwa kubki wody z wiadra. To był przydział Kompartii dla łagierludiej na następną dobę. Komu się nie podobało, mógł od razu dostać kulę w łeb. Wystarczyło tylko się krzywić i mękolić na jakościową stronę takiego menu.
Łagiernik musiał całościowo reprezentować sobą pełną akceptację tak oczywistych rzeczy jak: środki transportu, pożywienie i toaleta.

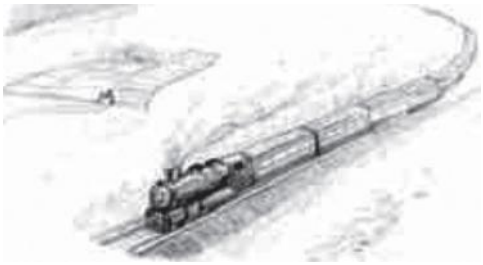

Przez dwa dni, które pociąg stał w Mińsku, przyglądałem się przez szpary znanemu otoczeniu miasta, które nie raz i nie dwa odwiedzałem w młodości. To jeszcze tak niedawno tu niedaleko tańczyłem do rana na ostatnim balu sylwestrowym.
Orkiestra grała pierwszy przebój tych lat –„Polesia czar”, wylansowany tak, że był on grany na wszystkich parkietach od „Adrii” w Warszawie po „Ujutnyj Ugałok” w Mińsku.
Srebrzyście skrzy się księżyc na śniegu, powietrze tak czyste, że niesie rytm hen daleko, aż za Dniepr. Głos Ordonki: „Polesia czar to knieje nenufary, Polesia czar to leśnej głuszy zew i w dali gdzieś mgieł snują się opary”... –but z odłażącą zelówką wystukiwał rytm tanga w podłogę wagonu. Roześmiałem się w duchu, to nie parkiet sali balowej, ale wagon zabity deskami, którego poprzednimi pasażerami było bydełko. Nie mam też jedwabnej koszuli i smokingu na sobie ani lakierków, tylko buty z odrąbanymi przez NKWD obcasami, tak bym nie mógł nimi wyłamać podłogi wagonu. Nie mam wokół wspaniałych perfum, tylko odór baraszy. Zamiast roześmianego towarzystwa ciasno wokół skupieni towarzysze niedoli. W najśmielszych rojeniach bujnej fantazji nie mogłem dojść do takiej diametralnej odmiany losu. Pomimo opresji, w jakiej znajdowałem się i bolączek swoich i współkolegów, wiedziałem jedno – to co teraz się dzieje, to jakieś zadanie, które Opatrzność zesłała i ode mnie zależy, czy wygram, czy przegram. Co jest tu stawką?
Czy przeżycie? Czy nieupodlenie się i śmierć z honorem. Doświadczenie zdobyte na polowaniach podpowiadało zawsze opcję najkorzystniejszą. Opcję z jaknajmniejszą stratą. Ale to wszystko było taktyką tylko na teraz i Bóg jedyny wiedział, w jaką strategię ułożą się te wszystkie taktyczne kroki, obliczone głównie na przeżycie. Przypomniałem sobie w tym miejscu współwięźnia Raszponda z Kamieńca Podolskiego, który w sposób lotny, jasny myślowo doszedł prosto do strategicznej finalnej rozgrywki. Ten nie bawił się jak ja w taktyki. Podczas pierwszego przesłuchania przez majora Jewrieja w brzeskim więzieniu nazwał służbowego enkawudzistę Judaszem. Nie załamali go ani biciem, ani gnojeniem w kazamatach kompartii. Zawsze, gdy w nocy Raszpond przychodził mi na myśl, zimny strach przechodził po mych kościach jak cynga syberyjska. Nie miałem tyle odwagi, by wybrać taki sposób przyjęcia śmierci. Bolesność tego przekraczała moje wyobrażenie. Po latach katorgi w łagrach widzę jednak, że moja wędrówka za życiem, ta moja walka o przeżycie, przyniosła w sumie daleko więcej udręki niż wymyślne tortury enkawudzisty majora Jewrieja.
Po dwóch dniach postoju na stacji kolejowej w Mińsku ruszyliśmy w dalszą drogę. Wagon szczelnie pozamykano i w środku trudno było podczas transportu wytrzymać. Byliśmy wszyscy brunatni od pyłu i tylko białka oczu świeciły jak przezroczysta, galaretowata ryba w jeziorze Bajkał. Siedząc na podłodze wagonu opierałem się plecami o plecy współwięźnia Lecha. Czułem, że jego tułów również faluje w rytm wybijanej podeszwą melodii. Tak szczepieni w tangu jechaliśmy wagonem do Smoleńska, a za

orkiestrę służyło nam burczenie w brzuchu z głodu. Lech pochodził z Baranowicz. Był studentem polonistyki na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie, przemianowanego na Iwana Franko. Strażnik, eskortujący nasz wagon, za machorkę pozwolił rodzinie Lecha przekazać mu paczkę na drogę. Teraz Lechu trzymał pod kolanami swe bogactwo, na które składał się: połeć słoniny, worek sucharów, dwie torby cukru i różaniec.

O ucieczce nie było mowy, przynajmniej na razie, gdyż w każdym wagonie jechała eskorta i zawsze czuwał wartownik z pepeszą gotową do strzału.

Pociąg stawał nieraz na stacyjkach, gdzie doładowywano dalszych nieszczęśników. Podczas tej tygodniowej podróży do Smoleńska na stacji Borodiszki o mało nie dostałem w głowę kamieniem. Gdy otworzono wrota wagonu, enkawudzista zaczął głośno informować ludzi stojących naokoło na peronach, że wiozą faszystów do łagru. Wyglądaliśmy naprawdę jak terminatorzy Hefajstosa. Ubrudzeni w ekskrementach i pokryci grubą warstwą kurzu. Jakaś kobieta dobiegła do mnie z krzykiem:

Ty faszystskaja swołocz, protiw tebia pogib moj Grisza. Wzburzenie zatrzymało mi na chwilę głos, lecz szybko się opanowałem i wykrztusiłem:

-Ja nie Giermaniec, ja że Polak...

Kobieta uchwyciła się żelaznej sztaby od wrót wagonu, twarz jej nagle zmieniła się i z emocją wyrzuciła ramiona ku mnie:

-Mileńkij, a toż my nie bratja?

Strażnik, widząc co się święci, zmierzył się kolbą, by ją odtrącić od wrót wagonu. Odchyliłem się gwałtownie, nie chcąc również dostać na podziękowanie kolbą pepeszy i wtedy poleciał kamień w mym kierunku. Gdy rykoszetem odbił się od ściany wagonu, strażnik coś wrzasnął do grupy gapiów na peronie. Spojrzałem w tym kierunku i zobaczyłem czarną postać w jarmułce, która szybko oddalała się nasypem.

-Bieri napitok! Bieri butierbrod! – To wózek z prowiantem podjechał. Wziąłem frykasy na następną dobę, pół kilo nie całkiem czarnego, ale też nie białego chleba i rybę odymioną razem z głową. Po wypiciu przez ucztowników dwóch kubków wody z wiadra byliśmy gotowi do dalszej drogi.

W wagonie robiło się coraz ciaśniej, jechało nas już trzydziestu czterech od Smoleńska. Mieliśmy informację, że pociąg zmierza w kierunku Moskwy. Gdzieś przed Moskwą w szczerym polu pociąg zatrzymano i kazano nam wysiąść z wagonów.

Pod eskortą szliśmy cały dzień, by pod wieczór dotrzeć do baraków, ogrodzonych kolczastym drutem. W tych barakach przebywaliśmy kilka dni, podczas których urzędnicy sprawdzali nasze dane. Pobyt w barakach jednak szybko się skończył i ponownie popędzili nas do bocznicy kolejowej. Niektórych więźniów jednak już nie było. Podobno zostali zabrani na Łubiankę w Moskwie. Los ich był więc przypieczętowany. Nie zdarzyło się, by ktoś zbiegł z Łubianki. Wynikało to głównie z faktu, że więzienie to bardziej przypominało szyby kopalniane niż jakikolwiek budynek. Na powierzchni ziemi wyglądało bardzo niewinnie, natomiast w głąb miało około tuzina kondygnacji. Podobno turyści amerykańscy biorą nieraz Łubiankę za willę moskiewską, nie zawsze rozumiejąc, dlaczego do budynku nie będącego magazynem, ciągle zajeżdżają samochody z krytą paką, które biorą za izotermy. Nie znane im jest pojęcie „czornyj woron”. „Czornyj woron” to samochód specjalnie wykonany do przewożenia więźniów. Byłem pasażerem tego cudu techniki amerykańsko-sowieckiej. Amerykański Ford T 34, który Roosevelt podarował Stalinowi w ramach układu Lend Lease Act, fenomenalnie pasował NKWD na więźniarki. Najgorszą rzeczą, jaka mogła spotkać więźnia przewożonego w „czornom woronie”, było znalezienie się przy ścianie. Na zakrętach inni więźniowie, upchani pokotem w oblachowanej skrzyni bez okien, napierali na nieboraka przylegającego akurat do ściany. Ten natomiast przypominał wtedy orientalnego fakira leżącego na szpilach.

-Trzeba wiedzieć, że w ramach pomocy Lend Lease Act Rosjanie otrzymywali też części zamienne. W ramach tych części najwięcej zamawiali elementów do budowy blaszanych skrzyń, prawie

hermetycznych, z ryglowanymi z zewnątrz drzwiami. Amerykański wywiad zachodził w głowę, po co Rosjanom takie ilości śrub dwucalowych i nie mogą do dziś pojąć, że całą więźniarkę skręcano takimi właśnie śrubami. Przy grubości blachy trzy milimetry użycie piętnastokrotnie dłuższych śrub okazywało się dla kapitalistów nie do pomyślenia. Człowiek kompartii wsparty na ideach Kaganowicza i zagrzewany poezjami Majakowskiego wybiegał w swych projektach dalej. Produkt finalny, czyli „czornyj woron", miał nie tylko uniemożliwić jakąkolwiek komunikację ze światem zewnętrznym, ale również odcisnąć bolesne piętno na więźniach. Podobnie ulica Rakowiecka, wraz ze swoimi kazamatami UB w przewodnikach „Pingwina" jest przedstwiana jako ośrodek kultury i rozrywki. Tymczasem była to wierna kopia Łubianki, posiadająca podobne więźniarki, nazywane tu Lubliny. Woziły one w jedną stronę ludzi do oprawców Zaraka i Luny, a z powrotem wywoziły zwłoki. Mimo tak ciężkiej opresji miałem jeszcze możność zobaczenia mroźnego nieba nad głową. Mało nieba, ale i pięknej Rasiji, którą teraz miałem znowu przemierzać przy pomocy wynalazku Jamesa Watta, poruszającego się na torach nieco szerszych. Tym razem jednak nie wepchnięto nas do bydlęcych, lecz do stołypinowskich łagierludiejskich wagonów. Nazwa tych wagonów wywodziła się od ministra spraw wewnętrznych Rosji – Stołypina. Trudy dotychczasowych etapów wycieńczyły mój organizm i spowodowały jakieś otępienie na ból, niewygody i doskwierający ciągle chłód. Rybę, napitok i kromę zwykłem już przyjmować jak zwykle przyjmuje się drożdżówkę i śmietankę. Tyle tylko, że na tym etapie nie było już wiadomo, dokąd mamy bilety. Może na Magadan, może na Kołymę, może do katorżniczych kopalń Workuty lub Karagandy. Z pewnością, jeżeli słałbym listy do bliskich, to na adresie zwrotnym by brzmiało: „Moj adres: Sowietskij Sojuz".

Jazda skazańców stołypinowskimi wagonami do łagru musiała podlegać określonemu regulaminowi. Jeden z punktów tego regulaminu przewidywał raz na dobę posiłek RCh (ryba i funt chleba). Nowością w stołypinowskim łagiernym transporcie było to, że nie było baraszy. Za to obowiązkowo przed podaniem RCh musiano sięgrupowo wyzałatwiać. Więźniowie nagminnie załatwiali się w buty. Tak, że po otwarciu wagonów wychodzili przeważnie boso i wylewali z butów zawartość na nasyp kolejowy. Nieraz taka zawartość przymarzła w butach i nie chciała tak łatwo wylecieć. W takim wypadku niezastąpionym narzędziem okazywała się ręka. Nikt jednak się nie krępował, brał taką ręką darowany od kompartii chlebok, bo też nie było wiadomo przez jakie to magazyny on przechodził.

Tuż przed przekroczeniem Wołgi doczepili do naszego składu wagony z Niemcami. Byli to ludzie o poszukiwanych zawodach z branży elektronicznej, chemicznej i fizyki jądrowej, porwani przez Sowietów do pracy w ośrodkach militarnych za Uralem.

## SZKOŁA PRZETRWANIA

Po piętnastu dniach wycieńczeni dotarliśmy do Kujbyszewa. Gdy padł rozkaz opuszczenia wagonów, wielu więźniów musiano wyturlać. Wagon należało opróżnić dla następnego transportu. Świeże, uralskie, mroźne powietrze niektórych postawiło na nogi, innych zbiło z nóg. Nie było jednak przelewek, konwój z głodnymi wściekle psami miał nas doprowadzić do obozu przejściowego w Kujbyszewie. Znowu rozlokowano nas w barakach. Postanowiłem trzymać się z Lechem. Zajęliśmy wolne prycze. W baraku było już około trzydziestu łagierników. Barak nie miał podłogi, tylko ubitą ziemię. Prycze pozbijano z grubsza tylko okorowanych sosenek. Ściany zrobiono z bali, przez które, jeżeli wyleciał mech, można było zebrać garść śniegu. Pomiędzy drzwiami i ościeżnicą tkwiły szpary na palec, ale nikt się tu nie przejmował uszczelnianiem watą okien i drzwi.

Zaraz po ulokowaniu wyczułem, że jesteśmy obserwowani spod oka przez mieszkańców baraku.

Pozornie niby niczym nie zaprzątaliśmy ich uwagi i poniektórzy grali w damkę lub szachmaty. Grali szyszkami, mającymi różnie poobrywane łuski, na wyrysowanych siekierą na pniach szachownicach. Jednak poczułem, że gdy rozmawiamy z Lechem, to robi się jakoś ciszej. Jeden z przebywających tutaj więźniów wyróżniał się wyglądem. Większość nosiła podarte kufaje, ten jeden miał koszulę wypuszczoną na spodnie i kamizelkę na wierzchu. W pewnym momencie zdecydowanie podszedł do mnie. Wskazał na moje buty, które nie raz i nie dwa służyły w stołypinowskim wagonie za naczynie nocne i powiedział:

-Choroszyje sapogi !

Rzeczywiście. W porównaniu z wyprodukowanymi z opon człapami, które miał na nogach, moje wydawały się pierwszą kolekcją fabryki Bata w Czechach. Zabrzmiała cisza w całym baraku, tak jak wtedy na polowaniach nad Muchawcem, gdy przy ognisku wysłuchiwałem od starych baciarów dalekich syberyjskich sag. Jakiś siódmy zmysł mówił mi, że to nie wróg, że gra nie idzie o sapogi.

Zeskoczyłem z pryczy i zbliżyłem się do obcego. Gęsty zarost maskował wyszczuploną łagrem twarz o słowiańskich rysach. Niebieskie oczy bardzo jasno i prosto wpatrywały się we mnie. Wiedziałem już wcześniej, że w łagrach istniała hierarchia ważności więźniów. VIP-ami w barakach byli zwykle urkowie i błatnyje. Oni dzielili robotę lesorubów w tajdze. Oni też decydowali, kto pierwszy pójdzie w kopnym śniegu na robotę, a kto ostatni.

Widziałem kilkadziesiąt par oczu pozostałych więźniów w tym momencie wlepionych we mnie. Wszyscy byliśmy w tym samym kotle i nie mogłem sobie pozwolić na jakiś nierozważny poryw emocji. Enkawudziści wszelkie ruchawki w barakach gasili w zarodku. Nie strzelali, bo kule kosztowały ćwierć kopiejki, tylko tłukli kolbami pepeszy. Wyciągnąłem prawicę i głośno powiedziałem:

-Jak się masz?

Poczułem jego poharataną dłoń i pomyślałem, że biedak siedzi raczej dłużej niż krócej. Patrzył ciągle na mnie, badając szczerość gestów i spytał, czy machniom? Pokazałem mu wtedy swe sfatygowane oficerki pozbawione obcasów i wyjaśniłem, że cały transport więźniów z Polski miał odrąbywane przez NKWD obcasy.

-My niet –odpowiedział. Ale przecież ich zabrali w łapciach z kory brzozowej z przysiółków pod Tułą. Atmosfera trochę się rozluźniła, niektórzy skręcali machorkę. Nie wiedziałem, że szewska operacja NKWD na moim obuwiu przybierze korzystny obrót i spowoduje tak gwałtowne opadnięcie ich atrakcyjności. Zapytałem wtedy delikatnie:

-A kto ty jesteś?

-Starszyj błatnyj.

-A kim ty? – usłyszałem.

-Antek z Polski. To jest taki sam jak błatnoj u was.

Zauważyłem, że nagle atmosfera w baraku jakby się odmieniła. Jak poprzednio byliśmy intruzami, tak teraz staliśmy się prawdziwymi ambasadorami i to daleko pod Uralem. A tam na salonach warszawskich zostały siedzące kukły.

-Ile lat siedzisz? – spytałem.

-Dwa – odpowiedział.

Zauważyłem, że biedak musi utrzymać za wszelką cenę respekt odpowiedni do swego stanowiska. Było to absurdalne, ale wpływał na ten respekt również staż w łagrze.

Ja siedzę cztery. Więc jaki u was staż? – zareplikowałem. Błatnyj nic nie powiedział i odszedł do swych towarzyszy niedoli. Przez pewien czas naradzali się pod oknem, a gdy wrócił, rozmowa potoczyła się już gładko, bez impertynencji.

-Kirucha, kolego. Ja widzę, że ty masz worek – wskazał nasz ratunkowy prowiant. Dałbyś trochę

sucharów i słoniny.
Bez ociągania się Lechu podzielił się z błatnom prowiantem. Na środku baraku stała metalowa beczka z kipitokom. Była to woda ze śniegu, w której gotowały się igły sosny syberyjskiej. Mój nowy kolega podszedł do mnie z kubkiem, zrobionym z aluminiowej osłony od magneta i zaprosił na kipitok. Dowiedziałem się, że byli tam ludzie, którzy za rozboje i morderstwa mieli wyroki 5 lub 10 lat oraz polityczni, którzy za lżenie systemu sowieckiego dostali po 15 lub 20 lat. Musiałem ostatecznie zagrać prawie z każdym partyjkę. Początkowo nie mogłem odróżnić konika zrobionego z szyszki od króla i chciałem gambit robić nie tą szyszką co trzeba. Ale gdy poznałem się na szyszkach, grałem już z mistrzami szachowymi mającymi długie staże w łagrach. Gra na przyzwoitym poziomie uprawdopodobniła w oczach błatnogo, że jestem prawdziwym Antkiem z Polszy i to z niemałym, bo czteroletnim stażem w łagrach.

Niestety Kujbyszew był tylko etapem w tej przygodzie z lodową śmiercią. Dane mi było popróbować iskania białego niedźwiedzia jeszcze w dalszej odległości. Z obozu przejściowego w Kujbyszewie rozsyłano łagrowników do innych obozów, rozlokowanych bliżej białego niedźwiedzia. Za wolą Opatrzności, a może różańca Lecha, nie zostaliśmy rozłączeni. Po dwóch tygodniach pobytu w obozie przejściowym mnie, Lecha i pozostałych ośmiu Polaków, którzy jechali z nami ze Smoleńska załadowano do wagonu towarowego. Gdy zatrzasnęły się za nami ciężkie wrota i zaryglowano sztaby, zdaliśmy sobie sprawę, że jedziemy dalej, w głąb Sybiru. W wyniku dotychczasowej tułaczki z zimnem byłem za pan brat, jednak teraz nie było już dnia, by przy wydechu nie powstawał pióropusz skondensowanej pary. Także wąsy i broda pokrywały się nieraz delikatnym lodzikiem. Trudno powiedzieć, byśmy byli pionierami, gdyż po napisach wyskrobanych na ścianach wagonu łatwo było się doszukać, jacy to pasażerowie przemierzali żeleznodorożnyj trakt. Prawie cała mapa geograficzna Polski była na tych ścianach: Brody, Stanisławów, Bogorodzieck, Dubeczno. Znalazłem też Wolanów, gdzie zjeżdżała socjeta na polowania z całej Rzeczypospolitej.

Uderzająca była w tej geografii i przeważająca ilość podpisów z Kresów. To kresowiacy byli głównie tymi pionierami syberyjskimi. Czymże byłaby ukochana moja strona bez Kresów? Oskubaną kurą z jej salonami warszawskimi, z całą poprawnością akceptującymi targowicę. Jak bardzo kresowy Rejtan odstawał od tej poprawności. Raz obudziłem się, podziękowałem Bogu, że zesłał na mnie taki, a nie inny los i zdrapałem z pasją lód z wąsów. Zobaczyłem, że Lechu w ogóle nie naruszył żelaznych zapasów, a jechaliśmy już dobre cztery dni. Schylony nad różańcem był myślą gdzieś daleko w transcendencji. Nie chciałem mu przeszkadzać i sprowadzać go do rzeczywistości. Poczułem się jednym z tych pionierów – syberyjskich łagrowników. Wyjąłem z podłogi zardzewiały gwóźdź. Przysunąłem się do ściany i zacząłem ryć w niej napis: Polesie – Brześć – Mirek Wolański. Gdy ryłem swoje napisy, reszta naszych współtowarzyszy ożywiła się. Po kolei dłuto rzeźbiarskie ze starego gwoździa wędrowało z rąk do rąk. Na końcu wpisał się Lechu.
Podczas dalszej części tygodniowej podróży studiowałem wielokrotnie te wpisy, zostało tam wyrzeźbione prawie całe województwo poleskie. Przez to wpisanie swych drogich miejsc poczuliśmy się wszyscy sobie bliscy. Dziwnym trafem jakoś także w trakcie tej podróży zmieniłem się i wcale już nie czułem zazdrości, że tam gdzieś warszawska gawiedź odmierza co dzień takie same interwały swego żywota.

Raz na postoju, gdy myliśmy się śniegiem, przywitała nas tablica: Irkutskaja Obłast'. Od tego dnia podróż trwała jeszcze dwa dni, aż w końcu wagon stanął na stacyjce, gdzie jedynymi zabudowaniami okazały się baraki. Wokół pełno było poskładanych bali drzewa. Zobaczyliśmy prymitywne maszyny, wśród których jako najbardziej nowoczesny objawiał się spychacz Staliniec, zbudowany na podwoziu czołgu T 34. Wysiadając ledwo trzymaliśmy się na nogach. Szybko zostaliśmy otoczeni przez konwój i eskortowano nas do obozu. Za nami została na pół zasypana śniegiem mała stacyjka, dumnie informująca o swej nazwie: „Tajszet – Irkutskaja Obłast".

Zasypaną świeżym śniegiem drogą podążaliśmy do obozu. Krajobraz był płaski, daleki horyzont dawał wrażenie wolności i przestrzeni. Po długiej rajzie w czterech ścianach wagonu wpatrywałem się daleko, aż może nad Bajkał. Nie mogłem się zorientować, gdzie słońce zachodzi. Właściwie cały krąg horyzontu dziwnie lśnił. Tak jakby za tym irkuckim horyzontem płonęła tajemnicza lampa syberyjska. Zobaczywszy obóz przeraziłem się. Jego architektura bardzo przypominała obóz w Auschwitz. Takie same wieżyczki strzelnicze na rogach, te same podwójne ogrodzenia z drutu kolczastego. Po tej linii szła wymiana doświadczeń. Mołotow otwierał się na wszelkie tego rodzaju innowacje. Różnice, owszem, też dały się zauważyć, zamiast palenia więźniów wystarczyło pozwolić na działanie syberyjskiej zimie.

Znowu Opatrzność mi sprzyjała i znowu razem z mym druhem Lechem znaleźliśmy się w jednym baraku. Jako że był to obóz przejściowy, zabierano stąd łagierników i rozsyłano do obozów syberyjskich. Już po kilku dniach zostałem wezwany do naczalstwa obozu. Idąc pożegnałem się w myśli z Lechem i nastawiłem psychicznie na dalsze kołatanie w wagonach towarowych.

Komendant obozu zasiadał w biurze pełnym segregatorów, wypełnionych aktami osobowymi skazańców. Od razu rzuciło mi się w oczy podobieństwo do doskonałego myśliwego z Drohycza. Stałem pod ścianą, czekając co będzie. Za chwilę Białorusin szerokim gestem wskazał ławkę, wyzbijaną ze szczap sosnowych. Urwał kawałek „Prawdy” – dziennika KPZR, chyba z poprzedniego miesiąca, nasypał machorki i zapalił. Teraz byłem pewny – to Józef Proń. Tak samo siedział przy ognisku podczas polowań w szczebryńskim lesie koło Wolanowa. Zaciągnął się, spojrzał na mnie i napisał na skrawku „Prawdy”: „Mira, biedaku, nie mogę ci pomóc”. Podał mi ten skrawek. Gdy przeczytałem, odebrał papierek i spalił. Pokazał mi wymownym gestem dookoła szyi i zaczął formalne wypełnianie dokumentów personalnych NKWD.

Opuściłem biuro komendanta przygnębiony. Lechu zmartwił się, czy nie złapała mnie cynga. Poczęstował prowiantem ze swych zapasów. Po zjedzeniu kawałka słoniny i suchara dostałem jednak takich torsji, że przesiedziałem całą noc na baraszy. Lechu w tym momencie powiedział:

Zrobiliśmy dużo błędów. Daliśmy się podejść. To, co teraz mamy, to czysta konsekwencja tego wszystkiego.

Chciałem go jakoś udobruchać i powiedziałem:

-Nasze dzieci już tych błędów nie powtórzą.

-Skoro człowiek uczy się na błędach, to jeżeli nie poznają naszego położenia, nigdy nie zmądrzeją, zareplikował Lech.

-Obiecuję, że jak się wydostanę, opiszę to wszystko. Dokonam także analizy tych zdarzeń. W tym miejscu miałem na myśli największe głupstwo, jakie palnąłem podczas wizyty UB w domu, gdy dałem się podejść jak cietrzew podczas tokowania. Nie wyskoczyłem przez okno. Czekałem, myśląc że to jakieś lokalne taktyki. Tymczasem była to już strategia eksterminacji najlepszych etnicznie Słowian. To etnicznymi Słowianami zasiedlono Workutę, Kazachstan. To była gra przeciwko nam, której etapem był też Katyń, Powstanie Warszawskie i Jałta.

-My zginiemy i nic po tym. Propaganda zrobi swoje. – Lechu nie był przekonany.

-Nie żałuj pozwalających się zniewalać ludzi – powiedziałem. Przypomniał mi się również Beniowski.

-Chodzi o to, by dodać życia do lat, a nie lat do życia – dopowiedziałem. Zauważyłem, że Lechu miał sobie wiele do wyrzucenia. Obejrzał się i gdy stwierdził, że nikt nie słucha, powiedział:

-Gdyby nie pewien Icek, spacerowałbym te raz po parku w Baranowiczach.

Rozmowę przerwał gwizdek:

-Wszyscy na plac!

Znowu selekcja na wysyłkę. Lechu podał mi rękę. Wyczułem coś ziarnistego pod dłonią. Zacisnąłem dłoń i wybiegłem na plac. Stała tam już gotowa eskorta. Wywołali około pięć kolumn więźniów. Wśród wywołanych znalazł się Lechu. Czekałem aż wywołają i mnie.

-Won, siuda!

To było skierowane do mnie od wartownika. Kolumna, w której odmaszerowywał Lechu, kierowała się ku bramie. Horyzont płonął ciepłym cynobrowym światłem. Wychodząca kolumna jak ciemny jesiotr amurski wiła się i poruszała na skrzącym się barwami różu śniegu. Psy szczekały i ganiały odstających. Jeden etap więcej, jeden mniej – pomyślałem. Nie mogłem się uspokoić, dlaczego mnie nie wzięli razem z Lechem. Oparłem dłonie na pryczy i zobaczyłem zadziwiony, że mam na dłoni odciśnięty krzyż. Na deskach pryczy leżał różaniec Lecha. Pierwszy raz zaszlochałem bezgłośnie. Nie mogłem się opanować. Wytarłem nos w brudny łach. Ostrożnie wziąłem różaniec z pryczy i zawiesiłem sobie na szyi. Atak spazmu tak jak szybko do mnie przyszedł, tak i odszedł. Będę żył, po to, aby dać świadectwo. Światu nie chodzi o ilość. Na obrazie Matejki kupa takich samych papug o poprawnym salonowowarszawskim zachowaniu występuje przeciw jednemu unikalnemu Rejtanowi, posłowi nowogródzkiemu. Z zamyślenia wyrwało mnie klepanie po plecach. Odwróciłem się. Przede mną stał błatnyj.

-Kirucha, kolega do komendanta!

Idąc do biura komendanta byłem przekonany, że mam jutro zostać wysłany na lesoruba. Poczciwy Józef Proń siedział za biurkiem, na którym leżała paczka. Skinął na mnie i pokazał na zawiniątko. Wziąłem bez zbędnych słów paczkę, a wtedy podał mi rękę na pożegnanie. Schowałem przepisowo paczkę za pazuchę. Przytrzymał rękę i patrząc mi w oczy powiedział, że chcieli mnie brać w tym transporcie na Kołymę, po czym cofnął szybko rękę i odwrócił się do metalowej szafy. Był to dla mnie znak, że mam opuścić biuro.

Kołyma, to był obóz, z którego rzadko się wraca. Umieszczony za kręgiem polarnym nosił określenie: „Dwienadcat miesiacew zima, a ostalnoje leto.” Więźniowie pracowali tam w kopalniach przy wydobywaniu minerałów ziem rzadkich. Złoża tych pierwiastków są promieniotwórcze. Biłem się z myślami, czy wysłać kiedykolwiek list do Baranowicz o skazaniu Lecha na śmierć. Dotknąłem pod kufają różańca. Tak idąc z ręką na różańcu wymawiałem wszystkie znane mi modlitwy. Niebo było czyste, nad czerniejącą tajgą świecił Syriusz. Trzy gwiazdki pozorujące miecz Oriona były tak wyraźne jak strzał z rakietnicy, padający gdzieś z głębi tajgi. Nagle stanąłem zadziwiony. Gwiazda Miecza Oriona -Alnitak pokazywała ten sam kierunek, w którym oddszedł Lechu. Choćby Lechu i zginął, to nigdy nie zginie jego duch. W duchu tego tajemniczego miecza ludzie dalej będą szli na zatratę przeciw podłości, lizusostwu, półprawdom i całemu zespołowi imitacji. Tu i teraz trójgwiezdny miecz Oriona, w ciszy syberyjskiej nocy, mówił to jasno i dobitnie. Niepotrzebne tu były żadne gadające głowy, chcące wytworzyć nad zdarzeniem interpretację lub też przedstawiające sterty dowodów, że to zwykły przypadek, ot, nałożenie kierunków, zjawisko efemerydalne, które może się zawsze zdarzyć. Przecież się zdarzyło, właśnie z mieczem Syriusza, Lechem, Syberią i ze mną. To mi wystarczyło, by zrozumieć.

Zdecydowanie wszedłem do baraku. W ukryciu swej pryczy rozpakowałem paczkę od Józefa Pronia. Był tam chleb, rękawice i ryba. Zawijając to w łach przypomniałem sobie dawne spotkanie. Ten Białorusin, który za drobne tipy naprowadzał paniczom zwierzynę, czuł do mnie wdzięczność. Tak mało mu pomogłem w przeszłości, ale niemniej trochę pomogłem, ponieważ go znałem z polowań, poręczyłem za niego w Mińsku, dzięki czemu wyszedł na wolność.

Dni mijały w obozie przejściowym na ciągłych przetasowywaniach wśród więźniów. Miały miejsce różne tragikomiczne zdarzenia. Któregoś wieczoru wpadło do baraku kilku strażników. Kazali wychodzić na dwór. Okaza ło się, że dwie więźniarki przedostały się przez druty do męskiej części obozu. Po długim szukaniu w baraku strażnicy wywlekli w końcu dwie winowajczynie, które ukryły się pod pryczami. Miały nadzieję, że po zajściu w ciążę będą mogły pójść nie do łagru, lecz do bolnicy.

Ja dalej czekałem na etap, przebywałem już w obozie prawie dwa miesiące. Proń starał się zatrzymać mnie jak najdłużej. Odwlekał wysłanie do łagru i nieraz wspomagał prowiantem. Trzeba przyznać, że przez obóz przejściowy Tajszet – Irkutskaja Obłast' przewijały się osoby niepospolite. Zesłani na reedukację śpiewacy operowi i poeci dawali nieraz koncerty i recytacje swej twórczości. Były to niezapomniane chwile, gdy w cieniu bariszy przedstawiano kwestie z Szekspira lub fragmenty z Rimskiego- Korsakowa.

W końcu lutego 1950 roku do naszego baraku wszedł naczelnik obozu ze świtą. Zaczął wyczytywać nazwiska osób na etap. Wyczytał też nazwisko Wolański.

– Sobirajties s wieszczami – rozkazał krótko.

Wyszedłem przed barak. Tam enkawudziści bez ceregieli przystąpili do rewizji. Kazali się rozbierać do gaci, a następnie wytrzepywali na śnieg wszystkie drobiazgi z kieszeni. Potem policzyli nas i ustawili piątkami. Wypadło dwieście trzydzieści osób. Każdy kolejno zgłaszał się po odbiór swego RCh, czyli do jednej ręki chlebok, a do drugiej ryba.

Całość tych czynności nadzorował konwój żołnierzy ubranych w kufajki. Stali z karabinami maszynowymi gotowymi do strzału, wycelowanymi w więźniów.

Drogą, którą już znałem, przemaszerowaliśmy do stacji Tajszet, gdzie podstawiono bydlęce wagony. Mróz panował siarczysty: –30° C. Weszliśmy do wagonów. Skupiliśmy się w ciasną grupę, by tracić jak najmniej ciepła. Niektórzy z więźniów po spożyciu słonej ryby zlizywali szron ze ścian wagonu. Pociąg zatrzymywał się co kilka kilometrów na stacjach, gdzie doładowywano nowych więźniów. Byli wśród nich Niemcy, Austriacy, Polacy, Białorusini, Ukraińcy, Litwini, Japończycy i Łotysze. Nie było obywateli Jugosławii. Po wojnie dalekowzroczny Josip Broz Tito ściągnął bowiem wszystkich rodaków do kraju. Od nowych dowiedzieliśmy się, że będziemy pracować przy wyrębie lasu i w kamieniołomach.

Po dwóch dniach wędrówki dotarliśmy do obozu. Wyładowano nas na bocznicy i konwojenci popędzili kolumnę do obozu. Obóz ten był silnie strzeżony. Oprócz wysokiego ogrodzenia, z nawiniętym kolczastym drutem, posiadał rozlokowane co kilkanaście metrów strażnice z wystającymi lufami karabinów maszynowych.

Na obóz składało się pięć baraków miesz kalnych i barak –stołówka.

Do każdego baraku wtłoczono czterdzieści osób. Pośrodku baraku stała, jak to było przyjęte w obozach sowieckich, barasza. Zamiast armatury do spuszczania posiadała dwa ucha i kij do wynoszenia, wraz z jej zawartością. Wynosiło się ją do wykopanego za barakiem dołu. Nie było żadnego niebezpieczeństwa utopienia się w dole, gdyż ścinał się on zaraz lodem.

Przez pierwsze tygodnie mrozy sięgały –50° C, grube bele, budulec ścian baraku, miały na złożeniach szpary i nieraz przed snem na moim wyrku wydrapywałem biały puszek. Prycza ogólna dla wszystkich więźniów w baraku składała się z dwunastometrowej okorowanej sosny, przybitej do ściany baraku. Przybito ją na wysokości pół metra i stanowiła ona równocześnie podgłówek tego łoża. Podnóżek stanowił drugi takiej samej długości bal, oddalony od podgłówka o półtora metra. Sosnowy bal przybito do leżących na ziemi pniaków. Był on nieznacznie obniżony, na grubość siekiery, od podgłówka. W poprzek położono pozbawione gałęzi młode brzózki, poprzycinane na długość człowieka.

Pewnego razu przyśniły mi się wagary z gimnazjum w moim rodzinnym Brześciu. Miałem uczucie, że płynę na swojej rzece, na Muchawcu.

Oto wyszedłem na brzeg przy jazie i nurkowałem do kryształowego żywiołu z barierki Jackowego Mostku. Niestety, to brzózki się porozsuwały i obudziłem się na zimnej ziemi.

Wszystkie baraki posadowiono na ziemi. Nie było czegoś takiego, jak podłoga. Miało to ten plus, że człowiek cały czas stał na ziemi. Stojąc na ziemi był realistą i patrzył trzeźwo na pomoc Anglii. Niestety, dla niektórych ten realizm przyszedł nieco późnawo.

Całości dopełniał koślawy piec, w którym palono drewnem. Do gara stojącego na piecu dodawało się

śniegu, w miarę jak ubywało napoju. Raz na jakiś czas wyrzucano stare wygotowane igły sosnowe i wsypywano kilka garści nowych, świeżych igieł, by można było popijać słynny napitok syberyjski.
Obsługa obozu nie dawała żadnych kocy ani okryć. W ten sposób raboczyj po wstaniu był od razu ubrany i obuty. Przy takim sposobie spędzania nocy wiele angielskich kapitalistycznych konsorcjów, produkujących szlafmyce i piżamy nie mogłoby łatwo opanować rynku syberyjskiego. Wiele uroku dodawały snom kłopy i kłopoty. Otóż, kłopa to pluskwa płci żeńskiej – pluskwica. Ta nie była aż tak bardzo dokuczliwa jak kłopot. Ot, trochę pobaraszkowała do rana i tyle. Była przy tym probierzem głębokości snu. Człowiek w Sowietach tak się do niej przyzwyczaił, że drapał się zwykle w stałych miejscach gryzienia, nawet zanim kłopa przystąpiła do krwiopijczych czynności. Po opuszczeniu obozu jeszcze po latach żona groziła mi rozwodem, jeżeli nie przestanę przez sen drapać i czochrać całego ciała. Ale od całego stada kłop bardziej dokuczliwy był kłopot. Jak kłopot dokonał transfuzji, to człowiek siadał na pryczy, choćby nawet spał w pourazowej malignie. Oznaką normalności i zasłużonego snu w baraku było nie tyle chrapanie i mówienie przez sen, co ciągłe czochranie się i drapanie.
Stalin musiał utrzymywać serdeczne stosunki z Franklinem Delano Rooseveltem. Dowodem tego były transporty amerykańskiego DDT, którym enkawudziści wysypywali sobie kalesony. Nieraz łagiernicy próbowali ze znalezionych pustych już pudełek po DDT wyprószyć choć odrobinę tego proszku będącego „amunicją” przeciw kłopom. Po latach okazało się, jak wielką trucizną okazał się ten proszek i jaką to przysługę oddali Jankesi Rosjanom.
Po kilku dniach przywieźli nam stare przechodzone walonki po żołnierzach oraz używane watowane spodnie i watowane kurtki. Dali też każdemu z więźniów czapki uszatki. Każdorazowo przed wyjściem do roboty wydawano rękawice z jednym palcem, które po szychcie zabierano.
Było jeszcze ciemno, gdy robiono nam pobudkę. Myliśmy się śniegiem i szliśmy na śniadanie. Każdy otrzymywał pół litra zupy podobnej do kapuśniaku. Kapuśniak jest tutaj określeniem polskim, oryginalna nazwa tego specyfiku brzmi bałanda. Gdyby ktoś chciał podawać w jakimś polskim hotelu bałandę, to służę przepisem, gdyż przez pewien czas w trakcie mego długiego pobytu w Sowietach miałem okazję przyrządzać syberyjską bałandę dla co najmniej 50 katorżników. Bierze się więc garnek, najlepiej nie myty po poprzedniej bałandze, wtedy potrawa będzie bardziej pożywna i wypełnia się go śniegiem syberyjskim. Stawia się garnek na ogniu, ciągle dodaje się drewna do ognia i śniegu do gara. Jak woda już bulgocze, wali się do niej odłupany kawał bydlęcego sadła, zależnie, ile się odłupie, wsio rawno i główkę kapusty. Jeżeli kapusta nadgniła – „nie szczypajsia, bo sól wsio zabijet”.

Bałandę podawało się najlepiej w obudowach od magneta lub rzadziej w stalowych ekranach po prostownikach do ładowania akumulatorów czołgowych. Jak za bardzo tłoczono się przy odbieraniu bałandy, enkawudzista mógł zabrać pierwsze lepsze naczynie i chlusnąć nim w kolejkę więźniów. Przez to kolejka zaraz nabierała szacunku nie tylko do bałandy, ale i do wielkiego Lenina i Engelsa, którzy budzili podziw nie tylko w Rosji, ale i w wielu innych krajach.
Na drugie była zwykle kasza, tylko z grubsza oczyszczonego owsa. Ugotowane karaluchy z reguły się przełykało, natomiast trzeba było pilnie uważać na gwoździe i różne oskołki występujące często, gęsto dla zaostrzenia smaku.
Każdy otrzymywał dwie chochle tej kaszki, a na dodatek był jeszcze chlebok.
Chlebok syberyjski nie powinien być mylony z chlebem. Była to zakalcowata bryłka, nieraz nafaszerowana owadem, a nawet gryzoniem. Ze swej konsystencji przypominała bardziej masę do

wyrobu pieców. Tak że zdun nie zrobiłby wielkiego błędu lepiąc z chleboka piec, a potem zajadając się oryginalną gliną popijał przy tym napitok. Chleboka podawano dwadzieścia dekagramów na chłopa, tak że cokolwiek by to nie było, to w tak nikłej ilości nie było w stanie nikomu zaszkodzić. Obiad niewiele różnił się od śniadania. Przy obiedzie dawano więcej chleboka – trzydzieści dekagramów. Można powiedzieć, że kompartia opierająca się na kibucowo-kołchozowym systemie pozyskiwania płodów rolnych preferowała kapustkę. Jadąc przez Rosję widziałem całe hektary nie zebranej na zimę kapusty. Wystarczyło więc zimą wysłać więźniów, by zebrali spod śniegu dowolną ilość kapusty na potrzeby łagru. Z tego, a nie z innego to powodu bałanda była więc i na kolację.

Dla pełnego obrazu trzeba jeszcze dodać, że do bałandy dodawano też wówczas chlebok, co chyba nikogo nie powinno zaskoczyć. Całości dopełniała łyżeczka cukru, który był towarem ściśle reglamentowanym. Nie wydzielano natomiast napitoku. Ten wywar z zielonych igieł sosny kipiał sobie w wielkiej beczce po paliwie czołgowym i, jeżeli ktoś miał starą łuskę od pocisku, mógł sobie strzelać nieograniczoną ilość toastów napitokiem, na przykład toast za rozpad Jałty i za Generała Sikorskiego. Czasami zamiast „bałandy” dostawaliśmy „kamzu”, czyli zupę z małych, ościstych rybek. Do zupy tej dodawano z reguły naparstek oleju.

Przeważnie trzy dni po przybyciu do obozu wzywano więźniów do naczelnika na komisowkę. Na komisowce przydzielano brygadę roboczą i numer więzienny. Ten numer naszywano nam na lewej nogawce spodni, z boku, powyżej kolana. Umieszczano go też na plecach kufajki oraz z przodu, naszywając na lewą połę. Ponadto numer naszywano z przodu czapki uszatki. Dostałem numer Y-32. Od razu po komisowce następnego dnia brygady kierowano do pracy w tajdze. Pierwsza brygada nosiła nazwę „lesopował”. Otrzymała ręczne piły do ścinania niebotycznych sosen. Piły takie są jeszcze gdzieniegdzie w muzeach długie na półtora metra z trzonkami na końcach. Piłowanie nimi było niezwykle mozolne, raz jeden z drwali ciągnął, a drugi lekko podpychał, następnie drugi drwal ciągnął. Nieraz przy piłowaniu zdarzało się, że piła uległa zakleszczeniu. Wtedy pojawiał się poważny problem życiowy, gdyż złamanie piły traktowano jako sabotaż wobec kompartii i karano śmiercią.

Druga brygada, w której ja się znajdowałem, obcinała siekierami gałęzie z powalonych drzew. Trzecia na własnych barkach wynosiła pnie, brnąc w śniegu do bocznicy kolejowej. Czwarta brygada układała pnie, tak aby je można było łatwo ładować na wagony. Piąta brygada ładowała pnie na platformy kolejowe. Szósta brygada, składająca się z najstarszych więźniów, będących już w wieku 50-60 lat, miała oczyszczać drogę ze śniegu i palić ścięte gałęzie. Ludzi starszych powyżej siedemdziesiątego roku życia zatrudniano w obozie do prac porządkowych. Palili w piecach, sprzątali śnieg, wynosili barasze z baraków i pomagali w kuchni. Zatrudniani też bywali w „chleboriezce” przy ważeniu porcji chleba na dwudziesto lub trzydziestodekagramowe porcje. Jedynie inwalidzi nie mieli zajęcia w obozie. Wyplatali z tej racji łapcie z łyka brzozowego oraz szyli. Poniektórzy umieli nastawiać kości, co było sztuką przydatną, gdyż podczas pracy w lesie coraz częstsze stawały się zwichnięcia. W odległości około godziny marszu od naszego baraku znajdował się tartak, poruszany maszyną parową, określany w gwarze jako „dok”. Stamtąd przywożono bale na budowę nowego baraku w obozie. W nowym baraku urządzono łaźnię. Miała ona przedział z „banią”, gdzie gorące kamienie polewane wodą wytwarzały parę. Ponadto była tam beczka z gorącą wodą. Raz w tygodniu przed kolacją brygadier prowadził swoją brygadę do „bani”. Więźniowie nie mieli przydziału mydła, cała toaleta wspierała się na używaniu śniegu i na podgrzewanej wodzie. O praniu ubrań nie było mowy, a to z powodu nie posiadania żadnej zmiany ani bielizny. Jeden z więźniów zajmował się goleniem i strzyżeniem współtowarzyszy.

Rano, gdy wychodziliśmy na robotę, w bramie obozu stał naczelnik i oficer polityczny. Oficer

polityczny był najważniejszą osobą w każdym obozie. On właściwie rządził ludźmi i obozem. W niektóre dni, jak „soobszina riewolucji”, za bramą baraku stała orkiestra i grała marsze, gdy wychodziliśmy do tajgi. Szliśmy zawsze piątkami, trzymając się za ręce. Zdarzało się, że likwidowano ludzi w czasie drogi na robotę. Więźniowie nieraz wyczuwali, że może im coś grozić. Wtedy grali w kotka i myszkę. Ustawiali się w środku albo przylepiali sobie kawałeczek śniegu do numeru. Najtrudniej było zawsze wycelować do więźnia z wieżyczki na zakręcie. Terenu, na którym pracowaliśmy, strzegli uzbrojeni w pepesze strażnicy. Każda próba ucieczki kończyła się jeszcze jednym lodowym kurhanem.

Nieopodal pracowały kobiety. Ich obóz rozlokowano w odległości niespełna dwóch kilometrów od naszego.Praca przy ścince drzew była bardzo wyczerpująca. Pracowaliśmy po pas w śniegu przy czterdziestostopniowym mrozie. Mimo to drzewa padały gęsto. Także w sektorze kobiet sosny padały jedna po drugiej. Nie mogliśmy zrozumieć, jak kobiety dają sobie radę przy tak ciężkiej pracy.

Za wykonanie normy dodawali nam do posiłku dwadzieścia dekagramów chleba. Jeżeli więzień wykonał 110 % normy, otrzymywał w nagrodę dodatkową porcję kaszy. Moja brygada liczyła szesnaście osób. Połowę stanowili Polacy. Brygadzistą był Ukrainiec z Niżnogo Nowgoroda. Ja w brygadzie zajmowałem stanowisko „rozdatczika”. Do obowiązków „rozdatczika” należało przynoszenie chleba z „chleboriezki” i rozdawanie go współwięźniom. Za tę pracę otrzymywałem dodatkową porcję kaszy albo bałandę. Pomagał mi więzień narodowości francuskiej, były oficer wywiadu Francji. Został on porwany w Berlinie przez Armię Czerwoną i zesłany do obozu pracy na Syberii. Doprowadzeni do ostateczności więźniowie często wszczynali bunty, które kończyły się z reguły dramatycznym pogorszeniem ich losu. Jeden z takich buntów dotknął w bezpośredni sposób mnie, sprawiając, że dotykalnie otarłem się o syberyjską śmierć. Naczelnik obozu zarządził, aby resztki jadła wydawać brygadom mającym najlepsze wyniki pracy w lesie. Nasza brygada należała również do wyróżniających się przekraczaniem norm pracy.

Pewnego dnia zdarzyło się tak, że jednej z brygad odmówiono przynależnej jej nagrody w postaci skórek chleba i resztek bałandy. Delegacja więźniów udała się do kuchni z pretensjami. A po dobrej chwili wróciła wzburzona i poinformowano całą brygadę, że koniec z dodatkowymi porcjami. Więźniowie spostrzegli, że zostali nabici w butelkę przez naczalstwo. Oburzenie wśród zdesperowanych więźniów rosło. Marne skórki i kawałki kapuścianych liści w bałandze tu w łagrze nabierały wartości większej niż wszystkie akcje indeksu Dow Jonesa na Wall Street.

Brygadziści porozmawiali dłuższą chwilę i nagle jeden z nich zapytał mnie:

-Wasz brygadier zdorow?

Brygadier Ukrainiec miał u nas w brygadzie największy staż, a po samookaleczeniu dostał się do szpitala. Sytuacja przyjęła dla mnie korzystny obrót, gdyż pod nieobecność brygadiera jako „rozdatczik” miałem prawo go zastępować. Będąc jego zastępcą miałem nieco lżej w pracy.

Wystąpiłem i odpowiedziałem:

-Brygadier w bolnice.

Na to brygadierzy kazali mi iść z sobą. Skierowaliśmy się do szefa kuchni. Szefem był Gruzin, Kaszwili. Wiadomo było, że zna go Stalin. Josif Dżugaszwili obdarzył go kiedyś stanowiskiem komisarza w Tbilisi. Niestety, Kaszwili w decydującym momencie odmówił organizowania kołchozów i rozkułaczania wsi. Otrzymał za to 25 lat łagru.

Szef kuchni siedział w swoim pokoju i grał w szachy z oficerem dyżurnym.

Brygadierzy bezceremonialnie weszli do środka.

-Dlaczego nie wydajecie dodatkowych porcji naszym brygadom? – zapytali.

-Będziemy wydawać teraz porcje wszystkim brygadom, a nie tylko waszym trzem – odpowiedział szef kuchni zdecydowanie.

Z pozbawionego emocji tonu jego głosu wywnioskowałem, że nie była to jego decyzja. Nie miał też zamiaru ani jej bronić, ani uzasadniać. Gdybym mógł, najchętniej wycofałbym się z tego.

Nie mogłem jednak odejść, gdyż poczytano by to za wyłamanie się ze współpracy z brygadierami. A za to brygadierzy mogli nasłać na mnie urków, czyli więźniów zajmujących się między innymi cichym, niby to przypadkowym, wykańczaniem łagrowników. Czułem się jak pomiędzy młotem a kowadłem.

Brygadzista Rosjanin, który mnie zawołał, nie próbował w ogóle dyskutować z szefem kuchni, poszedł do kuchni i wybrał nóż od „chleboriezki". Staliśmy z drugim brygadzistą bez ruchu.

Knot lampy zawieszonej na belce baraku dopałał się i schylony nad szachownicą szef nie mógł widzieć brygadzisty, którego czarny cień wielki jak troglodyta – wyszedł z kuchni. Dopełniała się jakaś nie załatwiona sprawa, może z przeszłości. Brygadzista z nożem nie popełniał błędów. Nie zmierzał wprost do Gruzina, lecz pozorował, że idzie do wyjścia. Gdy był u progu, odwrócił się i w trzech susach znalazł się przy grających. Zadał cios szefowi, jeden a potem drugi. Oficer schował się pod stół. Na szachy z misternie wcześniej ułożonym gambitem kapała krew. Obserwowałem wielokrotnie różne zajścia, ale w tym przeraziła mnie nieuchronność niepisanych wyroków. Całe zdarzenie wcale nie wyglądało na sprzeczkę. Było ono z pewnością tak trudne do rozwikłania jak partia szachów, której nie skończył Gruzin. Z czyjego poruczenia działał brygadier? Dlaczego oficer nie próbował bronić szefa kuchni? Wreszcie, co z nami będzie dalej? Te wszystkie niewiadome w tę syberyjską noc nie miały jednoznacznego rozwiązania. Dopiero w miarę dalszego pobytu w łagrach Syberii i Kazachstanu powoli zaczęły powstawać rozwiązywalne schematy działań i reguł życia obozowego.

Brygadier trzymając ciągle skrwawiony nóż wyszedł na zewnątrz. Idąc do baraku spostrzegłem przerażenie w oczach niektórych więźniów. Wnioskowałem, że każda jatka wśród więźniów nieodmiennie wyrokuje pogorszenie losu łagierników. Weszliśmy z brygadzistą do baraku. Zanim zdążyliśmy zdać sprawę współwięźniom z przebiegu zajścia, wpadli strażnicy z karabinami. Kazali wszystkim wyjść na dwór. Brygadier powiedział, że my trzej nie wyjdziemy.

Tu będziemy rozmawiać z naczalstwem.

Strażnicy wycofali się.

W nocy nie mamy się czego obawiać – powiedział do nas. – Przyjdą po nas dopiero rano. Musimy wyznaczyć warty.

Dał nóż z jeszcze niezakrzepłą krwią drugiemu brygadziście:

Jeśli ktoś z nich teraz przyjdzie, wal go nożem.

Jako drugi stanąłem z kolei przy drzwiach na warcie. Wziąłem nóż do ręki. Po godzinie stania zatoczyłem się i mało nie upadłem z nożem na ziemię. Całe szczęście, że oparłem się o futrynę drzwi. Inaczej pokazałbym się brygadziście jako nie najlepsza czujka. Wszystkie siły mnie opuściły. Nie tylko, że nie miałbym sił nikogo zaatakować, ale z trudem w ogóle utrzymywałem się na nogach. Na szczęście około czwartej brygadzista, który zabił Gruzina, zmienił mnie przy drzwiach.

Wczesnym rankiem do baraku wkroczyli uzbrojeni enkawudziści. Kazali nam wyjść. Przed drzwiami czekało na nas naczalstwo.

Brygadier rzucił im nóż pod nogi. Natychmiast nas aresztowali i zakutych w kajdany zaprowadzili do innego baraku. Tam całą grupę rozdzielili tak, że nie mieliśmy już więcej z sobą kontaktu. Po tym incydencie trafiłem do obozu katorżników odległego od Tajszetu o około sto kilometrów. Zaraz po przybyciu zostałem tam wezwany do oficera politycznego. Przejrzał on teczkę z moimi dokumentami i powiedział:

-Za co ciebie tu właściwie zesłali?

-Ja nic złego nie zrobiłem. Byłem tylko świadkiem morderstwa – odpowiedziałem.

-Widzę to. Ale dlaczego nie wyszedłeś ze wszystkimi?

-Bałem się, że brygadzista zrobi ze mną to, co z szefem kuchni.

-Za tchórzostwo musisz teraz swoje odsiedzieć. A że zginął jakiś więzień, to o jednego wroga komunizmu będzie mniej.

Obóz katorżniczy zbierał duże żniwo. Tu bez krematoriów wyprawiano więźniów na drugi świat,

posługując się jedynie metodą wygłodzenia i wychłodzenia. W całym obozie panował jeszcze większy terror niż w poprzednim. Codziennie ludzie umierali z głodu i zimna, a także ponosili śmierć bezpośrednio z rąk strażników. Zmarłych wywożono do lasu na wózkach i tam porzucano. Przedtem dla pewności rozbijano im głowy drewnianym młotem, aby sprawdzić, czy to rzeczywiście trup.
Metoda ta była zresztą rozpowszechniona we wszystkich łagrach tajszeckich. Każdy z nas bał się, żeby nie trafiło na niego i żeby nie został zmuszony swemu najbliższemu koledze rozbijać głowę po śmierci drewnianym młotem. Dzień w obozie katorżniczym rozpoczynał się normalnie. O świcie pobudka. Następnie myliśmy się śniegiem. Po tej syberyjskiej toalecie zakuwali nas w kajdany na ręce i na nogi, i tak skutych prowadzili do baraku na śniadanie. Przed wejściem rozkuwano nas. Przy długim stole czekaliśmy na posiłek.

Kajdany zakładano ponownie po wyjściu z baraku–jadalni. Zdejmowano je z nóg w drodze do pracy. Po przybyciu na miejsce odkuwano nam również ręce, abyśmy mogli pracować. Także na noc po odbytym apelu uwalniano nas od kajdan, żebyśmy mogli położyć się spać.
W obozie katorżniczym panował podwyższony reżim. Odbywały się ciągłe rewizje osobiste i jakąkolwiek niesubordynację karano karcerem. Karcer był w ziemiance, gdzie więzień przebywał przykuty do żelaznej sztaby. Każdy dzień pobytu w karcerze, jeżeli nawet nie kończył się śmiercią, to powodował tak duże przechłodzenie organizmu, że więzień z reguły padał przy pracy.

W tym obozie panował kategoryczny nakaz pracy niezależnie od wieku i stanu fizycznego. Jeżeli złapali kogoś na udawaniu, zaraz wieczorem trafiał do karceru. Wiedząc o tym starałem się zawsze uważać. Po drodze zawsze odmawiałem różaniec, który ukryłem głęboko w wacie kufajki. Jednak raz bal drzewa przycisnął mi boleśnie nogę. Gdy sprawdzałem, czy jest zwichnięta, strażnik zwymyślał mnie od darmozjadów i zapisał mój numer. Kątem oka spostrzegłem, że zapisuje X-32, a mój numer przecież brzmiał Y-32. Tak kawałeczki lodu ułożyły się bowiem na kufajce, że przerobiły Y na X. Gdy wróciliśmy do obozu, strażnik na apelu szukał wśród nas winnego więźnia. Oczywiście nie znalazł nikogo z takim numerem. Była to odległa duchowa pomoc mego druha z łagru – Lecha. Tej nocy modliłem się za niego, prosząc Najwyższego o pomoc w trudnych chwilach życia.

Zdarzało się, że podczas marszu na robotę „sprzątano” niektórych więźniów. Zaprzyjaźniłem się wówczas z Krzychem. Podczas ubierania zobaczyłem, że błatnyj podłożył mu inną czapkę uszatkę, co mogło narazić go na śmierć. Ostrzegłem więc przyjaciela.

## IDEA SOWIECKIEGO RAJU

W 1950 roku przywieźli transport więźniów z Berlina. Byli to Niemcy w wieku od siedemnastu do siedemdziesięciu lat. Nasz obóz okazał się za mały. Doszło do większego przetasowania wśród więźniów. Ja trafiłem do obozu numer 13. Mieścił się on niedaleko Tajszetu w Irkutskiej Obłasti. W obozie tym przydzielono mnie do brygady budującej linię kolejową. Mieliśmy sypać nasyp i układać tory. Praca była katorżnicza. Szyny nosiliśmy gołymi rękoma. Zauważyłem, że były to używane już szyny, wyszabrowane w Polsce. Wybity napis głosił: „Huta Kościuszko”. Nie mieliśmy praktycznie żadnego sprzętu mechanicznego. Śruby mocujące szyny do podkładów wkręcało się ręcznie. Otwory pod śruby w podkładach również wierciło się ręcznie. Cała robota wyglądała na wielką socjalistyczną improwizację. Przy tej robocie poniektórzy więźniowie okazywali się fachowcami w swej branży i